Kraków, 16-go listopada 1913 r.

Rok 9. Nr. 23.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 46.

Dzieci kochane!

Czytałyście w pisemku waszem niedawno, jakto św. Stanisław Kostka kochał różaniec i pobożnie a często go odmawiał, aby uczcić Matkę Najświętszą. W tym miesiącu listopadzie wypada właśnie święto tego Młodzieńca. Obchodzimy je zwykle w niedzielę, która przypada po 13. listopada. Ten Swięty, to wasz Patron i Opiekun, dzieci kochane. Nietylko dlatego, że jak wy, był Polakiem, mówił i modlił się po polsku; ale dlatego, że zawsze był dobrem, skromnem, posłusznem dzieckiem, pilnem w nauce, pobożnem w modlitwie. Krótko żył, bo w 18 roku życia poszedł po nagrodę do nieba — ale w tem krótkiem życiu tak z każdej chwili korzystał, aby tylko dobrze czynić, a unikać złego, że jeden z papieży powiedział o nim: „Mały to młodzieniec, ale wielki Swięty“.

Kochał św. Stanisław gorąco Matkę Najświętszą, a jak Jej tę Miłość okazywał? Oto myślał o niej często i wzywał i prosił Ją o pomoc w każdej swojej potrzebie, smutku, i w pokusie do złego. Czytał o Matce Najświętszej chętnie, i słuchał kazań o Niej z wielką uwagą i radością. Modlił się do Niej wiele i często w każdy dzień, ale szczególnie w Jej święta. Starał się zaś najwięcej o to, co Matce Bożej najmilsze. A cóż to takiego? Oto starał się spełniać przykazania Boskie i kościelne jak najdokładniej, bo pamiętał, że Pan Jezus tego żąda od nas, a Matka Najświętsza tego tylko pragnie, aby wszyscy słuchali Jej Boskiego Syna. Słuchał też św. Stanisław i kochał całem sercem Pana

Jezusa. Pamiętał o tem, że Pan Jezus żywy i prawdziwy jest wśród nas w Przenajświętszym Sakramencie. Odwiedzał też N. Sakrament, a tak się gorąco modlił przed Panem Jezusem ukrytym, że koledzy stawali nieraz za nim i sam widok św. Stanisława pobudzał ich do pobożnej modlitwy. Pamiętał św. Stanisław, że Pan Jezus pragnie mieszkać w sercach naszych; to też często przyjmował Komunię św. a gdy nie mógł kiedy przystąpić do stołu Pańskiego, wzbudzał pragnienie przyjęcia Pana Jezusa, czyli przyjmował duchową Komunię św. Ta wielka miłość i pobożność św. Stanisława czyniła go coraz posłuszniejszym, pilniejszym, niewinnym i czystym jak Anioł. Przez te cnoty stał się Patronem waszym i wzorem. Naśladujcie go i módlcie się do Niego, aby wam dopomógł modlitwami swojemi, żebyście się stały podobne do Niego i jak On do nieba się dostały.

JAK TO BYŁO W POLSCE.

(OPOWIEDZIAŁ DZWONNIK).

(Ciąg dalszy.)

Wierzenia i zwyczaje dawnych Słowian.

Kilka set lat minęło już od narodzenia i śmierci Chrystusa Pana, religia chrześcijańska rozszerzyła się już wśród Włochów, Hiszpanów, Francuzów i innych narodów a Słowianie nie znali jeszcze prawdziwego Boga, byli poganami, to znaczy, że czcili bożków rozmaitych.

Zapewne w pierwszych czasach po osiedleniu się w Europie wszyscy Słowianie jednakowych czcili bożków. Później jednak i w religii zaszły różnice. Każdy szczep przybierał sobie bożków, jakich uważał za najpotężniejszych, wyrabiał sobie z kamienia lub drzewa ich podobizny podług swego upodobania i nadawał im nazwy.

I tak n. p. u Słowian północnych najwyższym bożkiem miał być Swiatowid, którego wyobrażeniem był słup kamienny czworokątny, mający u góry twarz z każdej strony. A więc na wszystkie strony świata patrzał ów bożek i stąd jego miano Swiatowid. U Słowian południowych zaś był

najwyższym bożkiem Trzygłow, który miał trzy głowy; u innych znów największą cześć odbierał Perun, czyli Prowe a nazwa ta wskazuje, iż wierzono, jakoby bożek ten posiadał władzę nad piorunami. Niektóre szczepy Słowian dwóch bożków miały za największych, mianując ich Białobogiem i Czarnobogiem; z nazw tych można domyślać się, że pierwszy był bogiem dobra a drugi bogiem zła.

Oprócz takich bogów najwyższych posiadali pogańscy Słowianie mnóstwo jeszcze bożków i bogiń podrzędnych. I tak był bóg gościnności Radegast, bóg urodzaju Darzbog, bogini wiosny i życia Zywia albo Łada i bogini zimy



Gontyna czyli świątynia pogańska u Słowian.

i śmierci Marzanna albo Mara. Boginki według wierzenia Słowian były wszędzie: w domach domownice, w lasach leśnice, w wodach wodnice; była zła czarownica baba Jaga, były malutkie chochliki albo krasnoludki, które ludziom pomagały albo przeszkadzały w pracy.

Bożkom swym składali Słowianie ofiary ze zwierząt i zboża wszelkiego rodzaju; służbę około bożków pełnili kapłani pogańscy, którzy też objawiali ludowi wolę bogów i przepowiadali przyszłość.

Świątynie, jak się zdaje, stawiano rzadko; raczej przeznaczano dla bogów jakieś miejsca szczególne w lasach lub

na wyspach pośród wód, które to miejsca zwano uroczyskami. Świątynie były tylko w znaczniejszych grodach, czyli siedzibach wodzów i rycerzy.

Na cześć tych swoich bóstw obchodzili Słowianie kilka razy do roku wielkie uroczystości.

Na wiosnę włóczono po wsiach wyobrażenie bogini zimy i śmierci Marzanny, bito ją, poniewierano a w końcu topiono w rzece, przyśpiewując przytem:

Smierć się wije u płotu
Szukająca kłopotu . . .

Zaś bogini wiosny i życia składano ofiary z mięsa i jaj, które były znamionami życia, oraz strojono się na jej cześć w gałązki zielone i urządzano wesołe tańce i pląsy.

Wśród lata, w porze porównania dnia z nocą obchodzili Słowianie święto zaślubin ziemi ze słońcem, czyli święto Kupały. Bogom składali ofiary z ziół i kwiatów, wieczorem na ich cześć palili ognie a wziąwszy się za ręce, tańczyli wkoło tych ogni, potem skakali przez nie a w końcu kąpali się w rzekach, przez co jakoby obmywali się ze złego.

Z nastaniem jesieni znów były uroczystości, tańce i śpiewy i ofiarowanie bogom owoców i zbóż. Zimą tak samo; wtedy na uczczenie bóstwa strojono zielone gałęzie drzew iglastych.

O uroczystościach rodzinnych dawnych Słowian wiadomo, że uroczyście obchodzili postrzyżyny synów. Gdy syn kończył siódmy rok życia, wtedy ucinano mu poraz pierwszy włosy, a było to znakiem, że chłopiec przestał być dzieckiem i winien był odtąd jąć się zajęć męskich. Na ten obrzęd schodzili się krewni, przyjaciele i sąsiedzi i przy wspólnej uczcie cieszyli się wraz z rodzinami, że im dorastał syn.

Pogrzeby sprawiano także bardzo uroczyste. Zmarłych palono na stosach, a im kto był znaczniejszy w narodzie, tem większy dla niego układano stos. Gdy palono zwłoki wodzów i rycerzy, wtedy razem z nieboszczykiem palono także ulubionego jego konia. Resztki kości i popiołów składano do urny i przechowywano w ziemi. Dla wylewania

łez z żalu za zmarłym najmowano kobiety, które zwano płaczkami. Tu znowu im znaczniejszy był zmarły, tem więcej płaczek wylewało łzy na jego pogrzebie. Owe łzy zbierane w małe urny, stawiano w grobie wkoło większej urny, zawierającej popiół i kości. Składano także do grobów niektóre kosztowne rzeczy, należące do zmarłych, więc u mężczyzn broń i narzędzia, u kobiet ozdoby niektóre, jak: szpilki, pierścienie, naramienniki i t. p.

Zapytacie zapewne, skąd ludzie mają te wszystkie wiadomości o starożytnych Słowianach, kiedy sztuka pisania nie była im jeszcze znaną?

Otóż niektóre wiadomości przeszły do czasów późniejszych przez podanie, czyli tradycyę. Znaczy to, że ojcowie opowiadali to dzieciom i wnukom, ci znów swoim dzieciom i wnukom i tak dalej i dalej, aż do tych czasów, gdy nareszcie ktoś to zapisał do ksiąg. Przez taką to tradycyę zachowały się aż do naszych czasów niektóre zwyczaje naszych dawnych przodków. I my na wiosnę podczas świąt Wielkiejnocy częstujemy się nawzajem jajkami, latem zaś, podczas Zielonych Świątek stroimy domy nasze w zieleń, a nawet niektórzy i sobótki odprawiają, czyli ognie palą w wigilią św. Jana. Gdy przyjdzie jesień, wtedy obchodzimy po wsiach dożynki czyli wieńce, przyczem żeńcy ofiarowują gospodarzowi wiązanki lub korony z kłosów, kwiatów i owoców. Zimą nareszcie stroimy drzewko zielone w dzień Bożego Narodzenia. Wszystko to są pozostałości i ślady zwyczajów naszych dawnych przodków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DOMEK.

Ptaszek gniazdko wije,
Zwierz się w jamy kryje,
Ja, biedny człowieczek,
Zbuduję domeczek.

Sosny wybujały,
A jam jeszcze mały,
Niech jeno urosnę,
Zetnę w boru sosnę.

Narznę z niej deseczek,
Uklecę domeczek;
Mały, malusieńki,
Cały nowiusieńki.

Dam w nim okieneczka
Od wschodu słoneczka!
Żeby nas budziło,
Jak będzie wschodziło.

Dam w domku i drzwiczki
Prosto od uliczki,
Żeby i ubogi
Miał wejście od drogi.

A prosto w okienka
Będzie Boża męka,
Żeby Bóg łaskawy
Patrzał w nasze sprawy.

WRÓBEL I DZIEWCZYNKI.

Była to chłodna jesień — wiatr przepędzał po polach i po drogach zżółkłe liście i gałęzie uschnięte, a niebo wisiało nad ziemią smutne, coraz bardziej gęstniejące jakąś szarością mętną, której już nie mogły przebić promienie słońca. Ludzie mówili, że się zbiera na długie deszcze.

W jeden z takich dni szarych, drogą, co wiodła od kościoła do wioski, szły dwie dziewczyny. Szły tuż obok siebie: napozór tego samego wieku i wzrostu, ale w niczem nie podobne, ani ubiorem, ani postawą, ani ruchami. Jedna odziana po wiejsku, w spódnicę z grubego wełniaku, otulona ogromną chustką, obuta w podniszczone, ale mocne jeszcze buciki, kroczyła równo, posuwisto i tylko od czasu do czasu schylała głowę, by ugryźć kawałek obwarzanka. Tak idąc, a pogryzając, czuła się widocznie, pomimo chłodu, bardzo zadowoloną. Bo też co jej złego, tej Marysi? — Matka posłała ją do organiściny z wiankiem grzybów, a organiścina nietylko grzyby kupiła, ale jeszcze Marysi, swej chrześniaczce, włożyła w piąstkę dwa duże białe obwarzanki, żeby się dziewczyninie przez drogę nie nudziło.

Ale ta, co idzie, a raczej skacze obok Marysi, to nie gospodarska córka, bo aż strach patrzeć, jakie łachmany a strzępy na niej wiszą. Ni to chustki na głowie — czarne kudłate włosy spadają aż na czoło i biją o policzki śniade; nogi bose, też czarne, jak święta ziemia, a podryguje niemi, a skacze, niby wróbel, albo sikora. Żadnej to przystojności ani urody — jeno oczy ma ogromne, co, jakby duże, czarne czereśnie, obracają się na sinych białkach.

To pewnie cyganka! Ale czego ona tak drepce koło Marysi, to z jednego boku, to z drugiego podbiega, a wciąż się kręci — ba, zimno jej bez trzewików — ale przecież mogłaby sobie prędzej naprzód polecieć. Gdzie tam, ciągle napastuje, rękę wyciąga i piszczy żałosnym głosem:

— Dajcie co, dajcie co, jeszcze nic dziś nie jadłam.

— Oj, te cygany okropnie naprzykrzone, żyją tylko z jałmużny, a nic nie robią — ofuknęła Marysia.

Ale mała cyganka nie przestawała lamentować.

— Dajcie choć grosik, dajcie chleba!

Marysia ścisnęła mocniej jedną ręką obwarzanek, a drugą związane w szmacie miedziaki za grzyby i, podnosząc na cygankę wzrok oburzony, odpowiedziała prędko:

— Nic nie dam, my sami biedni, co zarabiamy, to dla siebie, nie dla włóczęgów.

Marysia nie kłamała: rodzice jej należeli do biedniejszych gospodarzy i ciężko pracowali, więc co tu jeszcze z drugiemi dzielić się lada chudobą?

Po długich daremnych prośbach mała cyganka uczuła nareszcie, że nic u Marysi nie zyska, a i chłód w bose nogi dokuczał — pomknęła tedy żywiej ku wiosce. Marysia zaś rada, że uwolniła się od towarzyszki, szła raźnym, posuwistym krokiem, spokojnie pogryzając obwarzanek. Już skończyła się droga, wysadzona topolami, już tylko przejść ścieżką w bok przez ugory. Ale oto znowu ta cyganka zatrzymała się na drodze! Czy na Marysię czeka? Oj, chyba nie. Biegła przecież dotąd bez oglądania się, a stanęła tak nagle, jak wryta. Schyla się, przysiadła nawet na ziemi, może co znalazła, bo coś bierze w ręce, do ust podnosi.

— Co ona tam ma? Ciekawam — myśli Marysia i po kilku prędszych krokach zrównała się z cyganką.

Sniade, obdarte dziewczątko trzymało w obu dłoniach ptaszka i chuchaniem starało się widocznie rozgrzać go, przywrócić mu siły.

— Wróbla masz? — spytała Marysia.

— Zobaczyłam zdaleka — odpowiedziała cyganka — jak trzepotał się w pyle. Oj, biedactwo, oj, sierota, pew nie ma skrzydła złamane.

— Co z nim zrobisz? położysz go gdzie koło rowu?

— Nie porzucę! — odparła cyganka i wielkie czarne, jakby zamglone oczy podniosła na Marysię. — Oj, sierota, skrzydło ma złamane, już nie może latać, już umrze z głodu. — I pochyliła kędzierzawą główkę nad ptakiem, a z piersi jej podniosło się ciężkie, drgające westchnienie. Zaczęła iść prędzej, ale równiej, z oczyma utkwionemi w ptaszynę. Szły tedy znowu obok siebie Marysia i cyganka, tylko, że Marysię coś strasznie za gardło ścisnęło, i zapewne, żeby sobie ulżyć, zsunęła swoją ogromną chustkę i dłuższą połą okryła ramiona cyganki. Ciała dwóch dziewczyn, przytulone do siebie pod jedną chustką, uczuwały miłe ciepło a ich oddechy łączyły się ponad wróbelkiem.

Marysia pomyślała:

— Jak to dziwnie. Cyganka tuli wróbla biedaka, ja otulam ją zziębniętą, a mnie...

W tej chwili przetarło się jakoś szare niebo i blade, ale miłe słońce uśmiechnęło się do Marysi.

— Nade mną, nad całym światem czuwa dobry Bóg — dokończyła myśleć Marysia.

— Ja tu już, do tej szopy — rzekła cyganka.

— Tu mieszkacie?

— Tak, ojciec konie we wsi kuje.

— Podprowadzę cię — zawołała Marysia. I uczyniła to, a na odchodnem włożyła cygance w usta swój nietknięty jeszcze obwarzanek.

Z wróbelkiem w dłoniach i obwarzankiem między zębami nie mogło cyganiątko podziękować inaczej, jeno wesoło rozjaśnioną twarzą i oczami błyszczącemi z radości, ale ta radość wpłynęła do serca Marysi i pozostała w niem na długo, na długo, pewnie na całe życie.